

Kronika tygodniowa

Pisząc poprzednią kronikę, tak miałem głowę nabita polityką, iż w zupełności o tem zapominałem, że to karnawał się kończy i powinno się być wesoło nastrojonym. Ale trudno! Kto się w karnawale nie bawił, dla tego nie istnieje i tusty czwartek i ostatki, choć mamy te ostatnie jak rok dinoi, gdyż każdy i każda z nas ostatkami goní, o ile *nota bene* nie jest członkiem czynnym cechu paskarzy, rozwiniętego dziś u nas do ostatecznych granic.

Powładam wyraźnie „członk'em czynnym“, gdyż cech ten ma i członków wspierających, ale ci ostatni do tamtych ani się umyli, bo gdy pierwsi sprzedają, ci drudzy od nich kupują i napychają ich bezdenne kleszenie swym ciężko zapracowanym groszem.

Dzisiejszą kronikę, która jest pierwszą z szeregu sześciu wielkopostnych, rozpoczynam w sam „tusty czwartek“, nie też dziwnego, że mi się bynajmniej na wesołość nie zbiera. Po inne lata, przed wojną, używałem się w tym dniu na paczkach, dziś żyje się tylko ich wspomnieniem i... tyka ślinę, bo rzadko kogo, a tem mniej biednego dziennikarza (ja jestem nawet tylko „tygodniarzem...“) stać na to, by sobie na podobny zbytek mógł pozwolić.

Poczuła moja Weronika wydobyla w tym dniu ze szafy wielkonomne dzieło s. p. Cwierzakiewiczowej (jedyna z kobiet, dla której mam respekt, jako dla autorki...) p. t. „Jedyną praktyczną przepisywaczką ciast i śmietanki konfitur“ i rzuciwszy okiem na rozdział, zatytułowany „Pączki“, a zaczynający się od słów: „Bierze się sześć jaj, tyżke świeżego masła...“ rzuciła nią o ziemię (książka, nie tyżka świeżego masła!) i rzewnie zalała się łzami...

Bo w samej rzeczy coś podobnego brzmi dziś jak bałka z tysiąca i jednej noy, choćby tylko z tego powodu, iż w tym tygodniu otrzymaliśmy na legitymację maczną dwa kilogramy rękawa i kilogram soli.

Z pod znaku pączka, którego w tym roku nie było, wchodzimy więc w znak śledzia, ale i tego nie będzie. Neutralna zagranica sprzedawała nam w czasie wojennym śledzie, wprowadziła żgnie, ale w każdym razie śledzie, obecnie należą one u nas do nadzwyczajnej rzadkości i stanowią potrawę, podawaną jedynie na magnackich stołach. Jeśli ziszczą się obywateli koalicyi, iż będziemy mieć dostęp do morza, *ergo* i własne śledzie, wtedy dopiero powetujemy sobie obecne braki, na razie przecież musimy się obejść tylko smakiem.

Ale kto w karnawale nie używał na paczkach, ten w czasie wielkopostnym wytrzymuje i bez śledzi, zwłaszcza, że my nauczyliśmy się już obchodzić bez różnych rzeczy, które, jak się dawniej wydawało, są konieczne do utrzymania życia. Dziś dopiero widzimy, że to był głupi i przestarzały przesąd. Jeśli tak dalej pójdzie, to my wogóle odzwyczysimy się od jedzenia i picia i to będzie jedyne dobre następstwo wszechświatowej wojny.

Popielec tegoroczny będziemy więc obchodzić bez śledzia, ale co ważniejsze i bez popiołu, bo skąd go wziąć, gdy ogniska domowe z powodu braku opału węgla. Dzięki Bogu, że przynajmniej tegoroczna zima jest lekka, gdyż w przeciwnym razie obok śmierci z głodu, groziłaby nam i z przemarznięcia. Dopiero początek marca, więc nie można być pewnym, czy się zima o swoje prawa jeszcze nie upomni, ale w Panu Bogu nadzieja, że to już długo nie potrwa. Niedźwiedź w dain Matki Boskiej Grmnicznej zwieli budę, obecnie święty Maciej „zimę stracił“, możemy więc odetchnąć jakoś swobodniej, bo naigorsze czasy już chyba minęły bezpowrotnie.

„Gorzkie żale“ śpiewają dziś po kościołach, gorzkie żale wywodzi każdy w cichości, pedząc coraz mizerniejszy żywót, więc też i kronikarz nie może paść ogólnej harmonii, ale musi nastroić swą lirę wedle wspólnego kamertonu co mu przewidzie tem łatwiej, iż od jakiegoś czasu cierpi na wątrobę, musi więc być zólcowo nposobionym.

A do tego przyłączają się jeszcze i rozmaite inne tak zwane „przyjemności żywotowe“.

Ot, nie dawniej jak wczoraj spotkałem jednego ze znajomych, który ma do mnie uzasadnioną zreszta za pełne pretensję, iż poprzednią kronikę wprowadziłem go w błąd i pomieszałem wszelkie jego kombinacje polityczne.

— Mój panie łaskawy! — tak mówił. — Jakże można było pisać, że Czesi pakują kufry i mają zamiar opuścić Śląsk Cieszyński, skoro dzisiejsze tele-ramy donoszą, że pomimo rozejmu, jaś mają z nami, przygotowują się do nowej ofensywy. Być może, że pójdą sobie ze Śląska, ale nie tam, skąd przyszli, ale na przód, to jest ku Krakowowi, by ratować swych braci, tak przez nas srodze cięmiętonych.

Wytłumaczyłem mu, że ja w tym wypadku żadnej winy nie ponoszę, ale moi informatorzy, to jest tele-ramy, jakie przyniosły pisma codzienne w tym czasie, gdy zajął byłem kronikarską pracą. Wtedy pisano raz, że Rada Narodowa Śląska jedzie już do Cieszyna, zaraz potem, że wróciła się do Bielska, potem znów do Cieszyna, wreszcie, że się zdecydowała i siedzi w Krakowie. Ja też, wspominając o tem, użyłem na wszelki wypadek wyrażenia „podobno“, dodając od siebie, że temu jednak nie wierze aby Czesi mieli Śląsk opuścić, gdyż co raz dostało im się w łapę, to się już pewnie nie odlepi. A że mają lepsze ręce, to wie każdy.

To jednak ciekawe, w którą stronę skierowaną będzie ta nowa ich ofensywa, bo chyba nie na Galicyę, choć kto wie, czy się tymczasem nie znalazł jakiś czeski historyk, który, dowiedziawszy się przez „konfidentów wojskowych“, że my mamy wprawdzie wielu oficerów, ale wojska mało, amincy zaś jeszcze mniej, orzekł, że Galicya aż po San jest rdzennie czeska i należy ją zagarnąć. A ten szonony mialby o tyle rację, że w samej rzeczy swojego czasu krzewił u nas „austriacką kulturę“ przeważnie same Pracełczki, Wiskoczile, Zawadille i inni, im podobni.

Mają więc Czesi nieprzypadkowe prawa bodaj do Galicyi zachodniej, wschońnią zostawiając Ukraincom, z których reprezentantami dali sobie już oficjalnie busi na praskim Zamku.

A potem czeski rząd umyje ręce i powie, że się to stało bez jego wiedzy i zezwolenia. Żołnierzy, gdy widzieli, że kraj оголосzony za wojska, uniosł rycerski animusz, (w wojnie światowej jakoś go nie okazwali...), a gdy jakaś ziemia jest już krwią czeską zroszona, to rząd traci swą władzę wobec armii.

Tak przynajmniej tłumaczy się Praga wobec świata i koalicyi ze swych odwiedzin na Śląsku Cieszyńskim. Jeśli się będzie rozchodzić o Galicyę, można będzie powtórzyć to samo, a z pewnością znajdą się tacy, którzy w to nawierzą.

Czesi wybierają się pono i na Śląsk pruski, stamtąd już niedaleko do Gdańska (przynajmniej można jechać bez paszportu...), więc będzie i dostęp do morza.

W ten sposób wytłumaczyłem się jakoś wobec mego przyjaciela, ale prosił mnie gorąco, bym na przyszłość czegoś podobnego nie robił, wobec czego przyrzekłem mu, że odtąd będę ostrożniejszym, o ile będą w grę wchodzić sprawy polityczne.

Z drugiej znów strony musiałem swymi wywodom, również w poprzedniej kronice zamieszczonym, przyznać rację, gdyż Paderewski w swej mowie powtórzył to samo, że musimy mieć silną armię, a aby ją mieć, należy się postarać o pieniądze na jej utworzenie i wwekwipowanie, niektóre zaś sfery ociągają się z subskrybowaniem pożyczki państwowej. Jeta w jote napisałem i ja to samo i to wcześniej, widocznie więc pan prezydent czytał moją kronikę.

I to mnie cieszy, że się tak zgadzamy, z nami zaś i pan Dmowski, który w swem *exposé* wyraził się zupełnie podobnie. Nie zgadza się zaś z nami towarzyszy Ignacy i jego gwardya, dlatego też przeszkadzali ciągle w czasie mowy premiera, ale on, jako „urawny muzyk, ale i mąż wysoce polityczny, taktu bynajmniej nie stracił, owszem, dał nawet jego lekcyę tym, którzy go nie mają.

Warszawa miała sposobność przekonać się, jak wygląda krakowska „wolność słowa“ w internecie socjalistów i podobno nie była tem bynajmniej zbudowana.

Ale trudno! Skoro wytykano błędy poprzedniego gabinetu, towarzyszy Ignacy nie mógł tego słuchać w milczeniu, boć przecież Moraczewski to był „ich człowiek“.

Lecz po co rzucał się ks. Okon i jego tarnobrzezkie kielbie? Chyba po to, aby Galicya na śmiech narazić, że nie miała kogo odpowiedniejszego obdarzyć zasłaniem ludu i to pracującego a nie politykującego.

Księdza Okonia, gdy mu „stawał okopiem“, tak się Paderewski przesłarzył, że zaraz po posiedzeniu, jeszcze tego samego wieczora, zgłosił wraz z gabinetem swa dymisję. Ale tej nie przyjęto, a Piłsudski miał się doń wyrazić w te słowa:

— Bądź pan dobrej myśli!... Nie taki straszny dyabeł, jak go malują! Krowa, która daje szczeka, mało mleka daje!...

I został pan Paderewski, ale nie mógł zrobić inaczej, skoro swą rezygnacyę cofnął rano i pan Piłsudski, a oni obaj żyją ze sobą w przyjaźni i zgodzie, co, daj Boże, aby trwało jak najdłużej.

Zapisałłem się zupełnie niepotrzebnie w sejmowe sprawy, gdy chciałem tylko zaznaczyć, że cieszy mnie ta jednogłośnieść, jaka panuje między mną, a panem Paderewskim i że to jest przeciwwaga tej zgryzoty, jaką mi sprawił ów obywatel, podługajac mnie w sprawie czeskiej do odpowiedzialności. Ze zaś, kto ma jakiegoś zgryza, chętnie się nim dzieli z drugim, uczy-

niłem to i ja, zwłaszcza, że jest to zupełnie odpowiedni temat do pierwszej kroniki wielkopostnej.

„Ostatecznie przecież przyszedł Czesi po rozum do głowy i uratowali mój kronikarski honor, choć znów zadali z drugiej strony kłam memu twierdzeniu, że co się raz przylepi do ich dłoni, to już trudno napowrót odzyskać.

Spaliowali w samej rzeczy kufry i wynieśli się z Cieszyna, a na ich miejsce wkroczyło tam polskie wojsko, witane ewangelicznie przez ludność tak miasta, jak i okolicy. Choć krótkie były rządy czeskie, ale się dały wszystkim we znaki.

„Czy to cofnięcie się można brać na serwo, czy też należy się jeszcze spodziewać powrotu nieproszonej gości, tego nikt powiedzieć nie może, a tem mniej kronikarz, nie będący nieomylnym nawet wtedy, gdy ma pióro w rękę i zajęty jest swą urzędową czynnością. Dałby Bóg aby nas już zostawili w spokoju, boć chyba mieli sposobność przekonać się na swej własnej skórze, że jesteśmy dość cierpliwi, ale tylko do pewnych granic i potrafimy ale jeszcze upomnieć o swoje i porachować nawet i z „braćmi“.

Na razie możemy więc z tej strony liczyć na spokój, może tylko czasowy, ale i taki coś wart. Z Niemcami w Poznańskim mamy także rozejm, choć walki toczą się ciągle, bo błędne Szwabiska nie mogą się z tem pogodzić, że trzeba oddać te, co się już uważało za swoją własność, choć się do niej przyszło w sposób niemiły. Świeżo zawarliśmy zawieszenie broni i z Ukrainą, obowiązujące do 17 marca. Pozostają nam więc jedynie (prócz Niemców...) rosyjscy bolszewicy.

Jak się Ukraincy będą zachowywać w czasie rozejmu, tego też nie wiemy, kto jednak zna ich, przypuścić może, że pójdą w ślady swych czeskich przyjaciół i obróca ten czas na wzmocnienie swego galicyjskiego frontu. Czesi tak zrobili bo podwieźli w czasie rozejmu wojsko, armaty i amunicyę, ciekawa więc rzecz, dlaczego nie mieli by ich naśladować Ukraincy, idący z nimi ręką w rękę.

Czesi i Ukraincy wymieniają między sobą nie tylko czułości, ale i to, co do życia jest bardziej potrzebne, bo oto, jak świeżo czytamy, za „czeski“ węgiel z zagłębia śląskiego otrzymują „ukraińska“ ropa z Rorystawia, a my tymczasem, prawowici właściciele tych artykułów, naprawdę do życia niezbędnych, chcemy z zimna i siedzimy pociemku.

Podzielił się naszymi szatami, a nam tymczasem wiatr w nos dmucha.

Ale miejmy nadzieję, że ciągle nie będzie i raz przecież musi być lepiej.

Ale kiedy?... Niestety i na to pytanie trudno odpowiedzieć, bo u nas panie się raz to, to znów owo. Dawniej mieliśmy pieniądze, a nie było co za nie kupić (kto innu za nas zjadał...), dziś stosunki gospodarcze nieco się poprawiły, ale zato finanse są pod nasm.

Zdłaska świta „lech“, (podobno ma zmienić nazwę na „złoty polski“) na razie natomiast dreczy nas jeszcze anstrzycka korona, tracąca z dnia na dzień coraz bardziej swą wartość. Wystarczy powiedzieć, że za jednego franka, który dawniej kosztował czterdzieści i kilka centów, trzeba dziś płacić cztery i pół korony, a że „lech“ ma się równać frankowi wartości, więc my, mieszkańcy byłego zaboru anstrzyckiego przy zmiłanie waluty widzieliśmy jak Zabłocki na mydle. Zdrą z nas ostatnią kaszę i jeszcze płakać nie pozwól.

Każdy, kto rozporządza mniejszym lub większym zapasem koron jest więc w strachu, że go „wyregulują“, a to już po raz pierwszy przy zapowiedzianem stemplowaniu koron.

Pozatem jest w obiegu taka moc pierieday fałszywych, (dowód, że kwitnie przemysł krajowy...), szczególnie zaś nowych banknotów dwudziestopięciokoronowych i dwustu-koronowych, zadrukowanych tylko z jednej strony, a bardzo przypominających etykiety z flaszek piwa, iż nikt ich już nie chce przyjmować. Nawet Bank austro-węgierski wyrzekł się swych dzieci i nie chce ich wymienić. Wystarczy powiedzieć, że banknotów dwustu-koronowych, choć dopiero niedawno je wydano, pojawiły się już trzy gatunki fałszywych, tak, że nawet bankowcy wznąć się na nich nie mogą. Z gwiazdką jest zły, bez gwiazdki także podrabiony, nie wie się więc, czy się ma banknot, czy kwiatek zwykłego i to do tego dość lichego papieru. Więcej na nim warta odwrotna, czysta strona, niż zadrukowana, można na niej bodaj napisać list lub sporządzić wykaz bliźniwy, danei do prania.

Pesiadacze gotówki są więc w kłopotcie, sami nie widząc „co posiadają“, tych kłopotów nie mają natomiast ci, którzy mogli by w Terryi ubiegać się o nasady świętych. Do braku ich już się przyzwyczaili, a dziś powiadają sobie, że nie mieć pieniędzy jest źle, ale mieć je także niedobrze.